

## Elle

### *Memento vivere, memento mori*

Anna Katarzyna uniosła powieki i odetchnęła z ulgą. To tylko sen. Nie musi nigdzie biec, nie musi uciekać, nie czuje bólu. Powoli podniosła się z posłania i spojrzała w stronę przydymionych szybek okna. Zrobiła kilka kroków i wtedy za jej plecami skrzypnęły drzwi.

- Pani, pan zakazał, co by pani wstawała - usłyszała zduszony szept. - Pan zakazał!

Odwróciła się gwałtownie i przyłożyła palec do ust, aby uciszyć nadgorliwą Barbarkę. Dziewczyna patrzyła z lękiem to na Annę, to na drzwi, w których w każdej chwili mógł się ukazać pan Maksymilian. A jak pan Maksymilian coś przykaże, to na mus tak ma być.

- Nie bój się. Pan wrócił zmęczony, pośpi jeszcze trochę. Nie trzeba mu nic mówić.

Anna Katarzyna powoli, krok za krokiem, zbliżyła się do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Przed jej oczyma rozciąga się pusty plac. Początek sierpnia. Zwykle o tej porze roku plac tętnił życiem, drżał w posadach od turkocących wozów, głośnych krzyków kramarzy, końskich kopyt, tupotu ludzkich nóg. Wielu ludzkich nóg. Ileż razy narzekała na ten hałas i wspominała wiejski dom wuja Hansa pod Norymbergą, gdzie tak chętnie wyjeżdżali na letnisko. Teraz tęskni. Tęskni do ludzi, do zgiełku, do tłumy, do zapachu potu i końskiego łajna.

Tak tu cicho. Pusto. Anna Katarzyna patrzy na wprost na suchą przestrzeń ubitego piachu, w którym ślady pozostawiły koła wozów i stopy ludzi. Na brudne od suchego błota ściany domów, na biały krzyż znaczący drzwi. Ucieka od tego widoku, spogląda w lewo, próbując dostrzec magazyny solne. To tam co dzień o świcie Maks kieruje swoje powolne, coraz cięższe kroki, a potem długo nie wraca. I po co? Od paru miesięcy nic się nie zmienia. Nowe wozy pełne worków i skrzyń soli nie przybywają, nie ma też tych, którzy by po sól przyjeżdżali. Wszystko zamarło. Ustało. Umarło. Jak długo jeszcze?

Anna Katarzyna przymknęła oczy i poczuła, że dziecko poruszyło się niespokojnie. Przyłożyła obie ręce do brzucha, pochyliła się i oparła czoło o gorącą framugę okna. Barbarka już była przy niej.

- Co to pani, co? - szeptała przerażona. - Niechże się pani o mie oprą, idymy nazod legnąć - w jej głosie jęczało błaganie.

Anna Katarzyna objęła prawą ręką szyję Barbarki i pozwoliła się poprowadzić. Po chwili mogła już opaść na poduszki i znów zamknąć oczy. Wsłuchiwała się przez chwilę w bicie serca, w pulsowanie skroni, w ten jedyny w swoim rodzaju tajemny język, którym dziecko porozumiewało się z nią od jakiegoś czasu.

- Napiją się pani? - Barbarka podsuwa jej czarękę z winem. - Dla wzmocnienia krwi. Pan kozoł.

- Przemyj mi tylko wargi, to wystarczy. I możesz już iść, chcę odpocząć.

Barbarka posłusznie spełnia prośby i po chwili Anna Katarzyna zostaje sama. Sama. Boi się tego słowa. Brzmi, jak przepowiednia dla skazańca, który wobec śmierci pozostaje zupełnie sam.

Anna Katarzyna stara się odsunąć od siebie ponure myśli, więc szuka dobrych wspomnień, ale takie niechętnie przychodzą, są za daleko. Trzeba im pomóc. Jeszcze trochę. Jak to było?

Piekarska Pani. Przywoływała ten obraz, ilekroć strach zaglądał do jej serca i umysłu. Minęło już dziesięć lat. Był rok 1666 i w dniu dwudziestych czwartych urodzin Anny Katarzyny Maks wpadł do domu i krzyczał od progu: „Pani Piekarska nas odwiedzi!” W pierwszej chwili nie zrozumiała. Maks był człowiekiem bardzo pobożnym, a w ostatnim czasie, gdy tyle się mówiło o cudownym obrazie, często odwiedzał piekarskiego proboszcza

**Elle**

*Memento vivere, memento mori*

i wracał stamtąd radosny i odmieniony. Teraz czekała, aż wyjaśni, co mają znaczyć te słowa. Przywiózł jakieś specjalne błogosławieństwo?

- Ksiądz Roczkowski obiecał mi - mówił rozgorączkowany, ściskając dłonie Anny Katarzyny - że obraz cudowny Najświętszej Marii Panny przywiezie do Tarnowskich Gór. A ja ubłagałem, aby przybył tu, pod nasz dach. Będziemy się modlić, żeby ta, która nawiedziła brzemienną Elżbietę, sama będąc brzemienną, sprawiła, że..., że ty...

Anna Katarzyna wyrwała się z tego uścisku, który już nie był miłosny ani troskliwy, tylko nachalny, przynaglający, niecierpliwy i bolesny. Poczowała wzbierający gniew.

Maks spojrział na nią twardo:

- Już sześć lat minęło, jak jesteś moją żoną.
- A ty moim mężem.
- I nic.
- I nic.

Stali naprzeciw siebie jak dwa posągi - zimne i obojętne. Pierwsza Anna Katarzyna spuściła wzrok.

- Kiedy to będzie?
- Chciałem na 2 lipca.
- Święto Nawiedzenia...
- Święto Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny. I to jest bardzo możliwe. Trzeba wszystko przygotować, powiadomić też co znamienitszych gości.
- Dziękuję - wyszeptala przez zaciśnięte zęby, próbując opanować płacz.

Anna Katarzyna wraca teraz pamięcią do dnia, gdy ze śpiewem, świecami, procesją w progi ich domu Maks wniósł cudowny obraz. Czekala z niecierpliwością na dziewczynę, która stała na Rynku i wypatrywała. Do granic miasta obraz miał przywieźć ksiądz Jakub Roszkowski paradnym wozem zaprzężonym w cztery konie. Przy bramie Krakowskiej zgromadzili się tarnogórzanie z burmistrzem i księdzem Aleksandrem Klayborem na czele. Ten ostatni był gorącym orędownikiem Matki Boskiej Częstochowskiej i po prawdzie nowy wizerunek budził w nim niepokój. Co powiedzą bracia z klasztoru Paulinów? Czy z tego nie powstaną jakieś niepotrzebne swary i niesnaski? Z drugiej strony Maksymilian Vogel tak bardzo prosił, tak bardzo nastawał, a przecież jest nie byle kim, bo kontrolerem z Urzędu Solnego, a przy tym prawym i gorliwym katolikiem. I tak ksiądz Klaybor szedł ramię w ramię z księdzem Roszkowskim, za nimi burmistrz i rajcy miejscy, wysocy urzędnicy, kupcy, mistrzowie cechów i wielu innych ważnych ludzi. Ale najważniejsza była Piekarska Pani niesiona na specjalnych drewnianych noszach sporządzonych przez dobrego i zmyślnego stolarza, który szedł potem obok Maksa, a za nimi dwóch młodych czeladników. Szła jeszcze cała ludzka gromada z pieśnią na ustach, z uniesieniem i radością. Już z daleka do uszu Anny Katarzyny dobiegł śpiew:

„O, najświętsza Matko Boża,  
jesteś piękna jako róża ”.

Szybko więc pobiegła do sali jadalnej, z której na tę wyjątkową okoliczność usunięto większość sprzętów, a pozostawiono jedynie stół zamieniony teraz w domowy ołtarz i dwa klęczniki. Na ołtarzu pyszniły się olbrzymie bukiety róż, wśród których miał zostać wkrótce umieszczony obraz. Girlandy róż i różyczek otaczały też całą komnatę od ściany za ołtarzem, przez ściany boczne aż do podwójnych drzwi wejściowych otwartych teraz na oścież. Anna Katarzyna ogarnęła wzrokiem cały wystrój, czy aby kwiaty wciąż piękne i świeże.

**Elle**

*Memento vivere, memento mori*

- Idą, idą! - usłyszała rozdzierający krzyk. Wszyscy domowi czekający w napięciu na ten sygnał wyszli przed drzwi w momencie, gdy czoło procesji ukazało się zza rogu kamienicy Schwartzfeldów. Anna Katarzyna wpatrzyła się w obraz unoszony ponad głowami tłumu i czuła wielką radość, jakby miała się spotkać z ukochaną, dawno niewidzianą siostrą. Kiedy idący na czele procesji księża stanęli przed domem, mężczyźni zdjęli drewniane nosze z ramion, a Maks zręcznie chwycił oburącz obraz i niósł go teraz przed sobą. Wszyscy rozstępowali się, aby zrobić mu miejsce. Wszedł do sali jadalnej i postawił wizerunek Maryi na ołtarzu. Najznamienitsi goście weszli za nim, uklękli, a na klęcznikach uklękli obaj księża i rozpoczęli modlitwę. Róże pachniały upojnie, świece płakały woskiem, wiele głosów powtarzało słowa modlitwy. Anna Katarzyna klęczała obok Maksa i czuła jego gorący uścisk. Tym razem nie wyrwała ręki, choć właśnie teraz chciałaby mieć Piekarską Panią tylko dla siebie. Patrzyła na cudowny obraz i cieszyła się, że nikt nie słyszy jej, Anny Katarzyny, serca i myśli. Widziała przed sobą prześliczną, smukłą, młodą kobietę, swoją rówieśniczkę. Panią, Matkę i ...Siostrę. Spod ciemnej chusty patrzyły dobre, spokojne oczy, prosty, wąski nos nadawał twarzy niezwykle szlachetności, drobne usta przypominały czerwone serce, a jasny podbródek podkreślał pewność co do podjętych śmiałych decyzji. Prawa dłoń Maryi o wąskich, niezwykle długich palcach wskazywała na Dziecko. Dziecko. Modlitwa Anny Katarzyny była bardzo prosta, zawierała tylko trzy słowa: „ Proszę o dziecko ”.

To dobre wspomnienie, ale zaraz za nim tłoczą się te trochę dobre, a bardziej złe. Kilka razy Maks wpadał w uniesienie i mógł dziękować Piekarskiej Pani, kiedy Anna Katarzyna czekała na miesięczne krwawienie, a to nie przychodziło. Już medyk potwierdzał z uśmiechem i kiwał głową. Anna Katarzyna miała jednak złe przeczucia i one sprawdzały się za każdym razem - po kilku, kilkunastu tygodniach ogarniała ją jakaś wielka słabość, ciemność, a kiedy otwierała oczy, widziała wokół siebie zatroskane twarze, ktoś wynosił zakrwawione suknie, ktoś trzymał ją za rękę, ktoś klęczał i modlił się za jej duszę. Potem były samotne dni i samotne noce. Maksymilian oddawał się pracy od świtu do zmroku, nie miał dla niej czasu, a może bał się jej oczu pełnych bólu i pytań.

W końcu przyzwyczaiła się do myśli, że matką nie zostanie, ale była przecież żoną i panią domu. Maksymilian coraz rzadziej zaglądał do jej sypialni. To zrozumiałe. Anna Katarzyna przypomina sobie, jak łatwo mogła teraz uzyskać jego zgodę, aby odwiedzić rodzinną Norymbergę. Wprawdzie matka już nie żyła, a ojciec po jej śmierci stał się milczący i jakby myślami nieobecny, ale zawsze cieszyły go odwiedziny Anny Katarzyny. Po kilku dniach wracał niezmiennie temat dziecka i wtedy Anna Katarzyna pragnęła uciec. I uciekała do ukochanej siostry, lecz tam również, mimo że obie bardzo tego chciały, bardzo się starały, nie znajdowała ukojenia. Widok siostrzeńców zamiast miłości budził w Annie Katarzynie uśpione demony i koniec końców wracała do domu pełna wyrzutów sumienia, żalu do samej siebie i z przeświadczeniem, że nie potrafi być ani dobrą córką, ani dobrą siostrą. A czy jest dobrą żoną? Maks witał ją zwykle ciepło i serdecznie, stęskniony i wygłodniały. Przychodził do jej sypialni, choć Anna Katarzyna nie była po powrocie w nastroju, aby spełnić jego oczekiwania. Chciała bliskości, czułości, potwierdzenia, że Maks kocha ją mimo wszystko.

Gdy siedzieli naprzeciw siebie przy posiłku, gdy składał ręce, pochylał się i szeptał słowa modlitwy, obserwowała go uważnie, aż podnosił głowę i ganił ją wzrokiem za brak pobożności, a może nieprzyzwoitą hardość. A w niej krążyły demony i nie chciały odejść, podsycając żale, pretensje, nieufność. Dlaczego Maksymilian wychodzi tak wcześnie i wraca tak późno? Czy idzie do urzędu? Czy odwiedza magazyny? Spoglądała przez okno i śledziła

**Elle**

*Memento vivere, memento mori*

jego kroki, ale już wkrótce zniknął jej z oczu. Może wymknąć się za nim i sprawdzić, dokąd idzie? Co jednak będzie, jeśli Maks odwróci się i dostrzeże ją na ulicy? A gdyby wysłać umyślnego? Co jednak będzie, jeśli wśród służby rozniosą się pogłoski, że pani każe śledzić męża? Narazi się tylko na śmiech i wzgardę.

Któregoś dnia postanowiła odpędzić złe duchy, złe myśli i gdy Maks wrócił z Urzędu Solnego do domu, przywitała go łagodnym uśmiechem i dobrym słowem. Stał bardzo blisko, wyciągnął ku niej rękę i pogłaskał ją czule po policzku. Chciała odwzajemnić tę chwilę czułości, ale spojrzała na kołnierz podbitego futrem płaszcza. Na ciemnym tle jaśniała długa, cieniuteńka nitka. Włos? Czyj to włos? Anna Katarzyna ma włosy kasztanowe, ciasno zwinięte pod białym czepkiem. Czyj to włos? Zesztywniała pod tym czułym dotykiem, uśmiech zgasł. Odsunęła się i przycisnęła dłonie do skroni. Uciekła do alkowy i już o niczym innym nie mogła myśleć, tylko o jasnej, cieniuteńkiej nitce. Skąd się wzięła na kołnierzu? Tak blisko twarzy, blisko ust, blisko... Anna Katarzyna przypomina sobie straszny ból zazdrości i upokorzenia. Ona nie może dać mu dziecka, więc nie jest ani ważna, ani wartościowa. I już nie taka młoda.

Anna Katarzyna uśmiecha się do tych wspomnień i uczuć, które pozostały daleko za nią i dziś wydają się głupie i niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe wobec Maksa i głupie wobec tego, co przyszło, trwa i nie wiadomo, kiedy odejdzie. A może odchodząc, zabierze ich ze sobą.

Anna Katarzyna zamyśla się. Próbuje wyznaczyć początek wydarzeń, które zmieniły ich życie. Tak, to chyba wtedy, niedługo po Dniu Zadusznym. Najpierw udali się w podróż na grób matki Anny Katarzyny, odwiedzili jej bliskich. Wrócili do Tarnowskich Gór wraz z pierwszym, mokrym śniegiem i porywistym wiatrem. Oby jak najszybciej być w domu. Mijali właśnie po lewej cmentarz i kościółek św. Jakuba, tuż przed bramą Wrocławską. Nagle wóz musiał stanąć, aby ustąpić miejsca dość osobliwemu konduktowi żałobnemu. Niesiono nie jedną, nie dwie, ale pięć trumien, jedną za drugą, większe i mniejsze. Maksymilian objął Annę Katarzynę opiekuńczym ramieniem i trwali tak zapatrzeni w niecodzienny widok. Kiedy wreszcie mogli znów ruszyć, nadal milczeli, ale przytuleni do siebie czuli wzajemną bliskość i ciepło. W tej jednej chwili połączyła ich nagła, oczywista myśl o tym, jak krótkie i kruche jest życie człowieka, jak łatwo można je utracić. Memento mori... Spoglądali przez szyby powozu na opustoszałe ulice, na błoto tryskające spod końskich kopyt. Mijali potężne mury parafialnego kościoła, skręcili w prawo. Ich oczom ukazały się zabudowania magazynów solnych, przy których ruch był jakby większy. Anna Katarzyna dokładnie pamięta, że Maks odwrócił głowę od tego widoku i spojrzał na nią, tylko na nią. Odwzajemniła to spojrzenie i tak jechali zapatrzeni w siebie, ciesząc się na nowo swoją obecnością.

Po przyjeździe, w całym tym rozgardiaszu powrotu, powitaniach, dyspozycjach, rozpytywaniach o sprawy dziejące się pod ich nieobecność, że grzebano dziś rodzinę, co to otruła się grzybami (tak ludzie mówią) - przez wieczór cały Annie Katarzynie towarzyszyło oczekiwanie jakichś rozkoszy i cudowności. Nie pomyliła się. Gdy wreszcie mogła udać się na spoczynek, w drzwiach jej sypialni ukazał się Maksymilian. Wysoki, postawny, o skroniach przyprószonych siwizną, o oczach jasnych i dobrych. Stał tak blisko, że mogła dotknąć twarzy kochanej, poczuć pod palcami szorstkie policzki, powieść opuszkami po pełnych, wilgotnych wargach. Już zaraz zaczął z uwagą rozwiązywać wstążkę, którą wplatała na noc w długie włosy, pomogła mu, gdy szarpał sprzączki gorsetu. Cieszyła ją

**Elle**

*Memento vivere, memento mori*

własna nagość. Miała trzydzieści trzy lata, to, co przeszła, pozostawiło ślady zmęczenia na jej ciele, ale prawdziwa miłość właśnie w tych śladach mieszka, w nich przecież zawierają się lata wspólnego życia. Życia. Przymknęła oczy i czuła delikatny dotyk, którym Maks badał jej ciało na nowo, odkrywał tajemnice, o których oboje chcieli już zapomnieć.

Po tej nocy przyszły kolejne, kolejne, a dzięki nim stali się sobie tak bliscy, jak jeszcze nigdy w czasie piętnastu lat małżeństwa. I stało się. Wyjątkowo uroczyście powitali nowy 1676 rok z przekonaniem i wiarą, że zasługuje na huczne powitanie i że będzie dla nich szczególnie łaskawy. Nie czekali długo, a potwierdził swą szczęśliwą moc.

- Nie krwawiłam w tym miesiącu - wyszeptła któregoś wieczoru, patrząc w oczy Maksa i głaszcząc jego skronie - nie krwawiłam...

- Będzie synek. Albo córka - uśmiechnął się.- Będzie dziecko. Tym razem wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz.

Przytulił ją tak mocno, tak mocno, że i ona nie miała żadnych wątpliwości - uda się, urodzi piękne dziecko, ich dziecko. Czekala ją jednak długa droga. Dziecko powinno się urodzić gdzieś pod koniec września albo na początku października.

- Jesteś jak ta jabłonka, co jesienią rodzi czerwone owoce - śmiał się Maks. - Zawsze lubiłem październik, ale teraz będę go wypatrywał z wielką niecierpliwością.

Annie Katarzynie spodobało się to porównanie i naprawdę czuła się trochę tak jak jabłonka w ogródku na tyłach domu. Teraz przykryta grubą warstwą śniegu, już wkrótce zrzuci zbędny kożuch i wtedy wszyscy zobaczą, że w konarach, gałęziach i drobnych gałązkach krąży krew, która pozwoli kwitnąć kwiatom, zielenić się liściom i dojrzewać owocom tak długo, aż staną się krwiste czerwone i same będą prosić, aby je zerwać zanim spadną, oddając piękno ziemi i przyjmując w zamian burą barwę zgnilizny.

Śnieg rzeczywiście leżał w tym roku wyjątkowo krótko. Jeszcze luty nie dobiegł końca, a już wszystko rozmarzło, pokrywając miasto błotem i rozległymi kałużami. Nad wodą unosiła się sina warstwa wilgoci, przez którą wiosna nie potrafiła się przedrzeć.

- Zostań ty w domu - prosił Maks, zbierając się co rano do swoich obowiązków w solarni - nie wychodź, uważaj na siebie. Masz tu do pomocy Barbarkę i Gustę, co potrzebujesz, wszystko dla ciebie zrobią, a ty odpoczywaj, dużo odpoczywaj.

Anna Katarzyna kiwała głową na zgodę, pamiętała o zaleceniach medyka i matki Barbarki, która wielu już dzieciom pomogła przyjść na świat. Pamiętała też o tym, co było dotąd, o dziecinach małych jak łupinki orzecha, opuszczających jej ciało wraz z falą krwi. Jednocześnie miała w sobie jakąś ogromną wiarę, że tym razem będzie inaczej. Zostawała jednak w domu, stawała przy oknie i obserwowała ludzką ciżbę przelewającą się po błotnistym placu. Konie ciągnęły wozy. Jedne jechały od Rynku i dalej w lewo po magazyny solne albo jeszcze dalej skręcały w prawo, by za kościołem parafialnym kierować się ku bramie Wrocławskiej. Inne, wyjeżdżając z Rynku, skręcały w prawo tuż pod jej oknem i Anna Katarzyna widziała oddalające się w głąb placu fury wyładowane drewnem, zbożem, kaszą, kapustą, półtusami i innym towarem, którym chętnie handlowano - wprost z wozu albo przy rozstawionych kramach. Towarzyszyło temu pokrzykiwanie, nawoływanie, płacz dzieci, jękliwy śpiew proszących o jałmużnę biedaków, którym na przednówku głód zaglądał w oczy. Cały ten ludzki rozgardiasz tonął po kostki w miękkiej brei, a smród ludzi i zwierząt stawał się męczący nawet tu, za zamkniętym oknem.

Któregoś marcowego dnia słońce wreszcie mocniej zaświeciło, zrobiło się jasno i przejrzyste. W takim dniu Anna Katarzyna nie mogła jak zwykle patrzeć na świat tylko

**Elle**

*Memento vivere, memento mori*

zza szyb. Chciała wyjść, cieszyć się wiosną, wmieszać się w krzykliwy tłum. Gusta i Barbarka szły posłusznie za nią, rozglądając się trwożliwie, czy skądś nie nadejdzie pan Maksymilian, który surowo zakazał takich spacerów i na pewno by im nie darował zuchwalstwa. Pani nie skręciła w prawo w stronę Rynku. Wiedziała i ona, że tam łatwo natknąć się na męża, bo przecież właśnie przy Rynku mieścił się Urząd Solny. Nie mogła też iść w lewo, gdzie kilka domów dalej rozciągały się magazyny. Najlepiej udać się z domu na wprost, choć tu najbardziej niebezpiecznie - łatwo wpaść pod jadący wóz albo stać się ofiarą jakiegoś złodziejaska. Anna Katarzyna nie czuła trwogi. Przejdą przez plac aż do miejsca, gdzie stoją niskie, drewniane chaty. Stamtąd rozciąga się szeroki widok na pola, więc jeszcze kawałek i można popatrzeć w niebo, aby poszukać skowronków.

Dla bezpieczeństwa posuwała się wzdłuż murów kamienic po lewej stronie placu. Tu nikt nie śmiał rozkładać kramów przy domu gwarka z dziada pradziada, Jana Blachy, czy obok dawnego ratusza i miejskiego więzienia. Uważała jednak, aby nie zawadzić bucikiem o drewniany rynsztok, którym płynęły nieczystości. Nagle usłyszała za sobą dziewczęcy pisk: to Gusta stała nad rynsztokiem i wpatrywała się w coś okrągłymi ze strachu oczami. Na twarzy Barbarki malowało się obrzydzenie. Anna Katarzyna zakryła usta dłonią i dopiero teraz odczuła lęk: u ich stóp leżało kilka martwych szczurów. Widok szczura nie należał do rzadkości, w tych jednak było coś szczególnie wstrętnego. Martwe ciała uległy już znacznemu rozkładowi, pewnie leżały tu od jakiegoś czasu. Wiosenne słońce wysssało wodę z kanału i szczury wylazły na zewnątrz, strasząc nie tylko Annę Katarzynę, Barbarkę i Gustę. Przy nich pojawiło się jeszcze kilka osób zaalarmowanych piskiem dziewczyny. Zgromadzeni zatykali nosy i ze wstrętem odwracali głowy. Ktoś zaraz wziął widły i przeniósł truchła, tak aby nie drażniły ludzkich oczu.

- Dej psu, wszystko zeżre - zaśmiał się jakiś chłop, wskazując na wałęsającego się kundla. Zawtórowało mu kilka głosów.

Anna Katarzyna poczuła nagle krople potu na czole i wielką słabość. Osunęła się na kolana, a Gusta i Barbarka już były przy niej. Ale i inni zauważyli, co się dzieje, znaleźli się i tacy, którzy w Annie Katarzynie rozpoznali panią Vogel, żonę Maksymiliana Vogla. Jeden z mężczyzn wziął ją na ręce i przeniósł aż do domu. Z tyłu z wielkim płaczem i trwożą szły Barbarka i Gusta. Co to będzie? Co to będzie? W domu zaczęło się bieganie, wzywanie medyka, wysłano też chłopaka, aby sprowadzić do domu pana Maksymiliana. Zanim jednak nadszedł Maks, Anna Katarzyna wróciła do przytomności i omiotła zgromadzonych pytającym spojrzeniem, ale i tak wiedziała, że najgorsze tym razem nie nastąpiło. Jakby na potwierdzenie medyk poklepał ją uspokajająco po dłoni:

- Nic to, nic, zwyczajna słabość, ale nie trzeba się nadwyręzać, nie trzeba.

- Nie trzeba - wyszeptła.

Od tamtego czasu ani razu samowolnie nie przekroczyła progu domu, za to z zewnątrz zaczęły napływać najpierw niepokojące, a potem coraz bardziej przerażające wieści. Któregoś dnia usłyszała za oknem rozziewający krzyk: „Matus! Matus!” Gusta i Barbarka zaraz chciały wybiec, aby zobaczyć, co się dzieje, ale dostały od kucharki warząchwą po głowie i wszyscy patrzyli przez szyby na powstałe w środku placu zamieszanie. Jakaś kobieta leżała bez życia, nad nią pochylał się płaczący chłopiec i starzec, który zaraz odskoczył jak oparzony, a wśród ludzi powstał jeszcze większy zgiewk, chaos, zamieszanie. Po chwili chłopak pozostał sam nad zwłokami kobiety, a z daleka w jego stronę poleciały kamienie: „Zabieraj to ścierwo! Zarazęś przyniósł, zarazę!”

## Elle

### *Memento vivere, memento mori*

Na początku trudno było w to uwierzyć. Ludzie chorują i umierają, tak już jest.

Zwłaszcza na przednówku biedacy mrą, bo jedzą byle co albo nie jedzą wcale. Bogaci też chorują i też umierają. Anna Katarzyna odpędzała myśli o zarazie, o której raz po raz ktoś ze służby wspominał. A to, że człowiek padł nieżywy na drodze, a to, że całe rodziny umierają, a to, że lekarz do biednych się nie kwapi, tylko do bogatych chodzi.

Maks bardzo szybko pozbył się wszelkich wątpliwości i nakazał pakowanie dobytku.

- Musisz wyjechać - mówił do Anny Katarzyny, obsypując pocałunkami jej poblądką twarz. - Przeczekasz u ojca albo u Gertrudy, ale tu zostać nie możesz.

- A ty? - pytała z trwogą.

- Wiesz, że mnie nie wolno Tarnowskich Gór opuścić. Zwłaszcza teraz. Jestem odpowiedzialny za wielki majątek cesarza.

Wsiadli do powozu i ruszyli w stronę bramy Wrocławskiej. Przejechali jeszcze kilkaset metrów, aż za cmentarz i kościół św. Jakuba, gdy nagle zatrzymał ich oddział zbrojnych.

- Halt - zawołał jeden z żołnierzy. - Zawracać!

Maks był na taką sytuację przygotowany. Wyjął z zanadru mieszek, ale tamten pokręcił przecząco głową. Nie chciał narażać życia i żadna suma nie mogła go przekonać.

- Zawracamy. Spróbujemy przez bramę Lubliniecką, pewnie słabiej pilnowana - Maks już dawał sygnał woźnicy, ale Anna Katarzyna powstrzymała ten gest:

- Nie - w jej głosie zabrzmiała pewność. - Nie mogę i nie chcę wyjechać bez ciebie.

- A dziecko?

- Boję się - spojrzała w oczy męża - boję się, że podróż byłaby i dla dziecka niedobra.

Maks rozumiał jej lęk i w rozpaczę chwycił ukochaną w objęcia. Zdał sobie sprawę, że nie potrafi dać jej bezpieczeństwa. Długa podróż mogłaby zabić dziecko, lecz pozostanie w Tarnowskich Górach jest jak czekanie na śmierć.

Teraz wypadki toczyły się coraz szybciej. Anna Katarzyna pamięta widok ludzi rozlepiających na ścianach zarządzenia cesarza w języku polskim i niemieckim. Mowa w nich była o otoczeniu miasta wojskiem, aby zapobiec szerzeniu się moru. Handel został mocno ograniczony, choć nie pozbawiano miasta całkowicie dostaw żywności. Zabronione były wszelkie zgromadzenia. Domy chorych znakowano białymi krzyżami. Zarządzono czterdziestodniowe kwarantanny dla rodzin zmarłych w wyniku zarazy. Włóczące się bezpańskie psy miały być chwywane i zabijane.

- I jarmarku nie będzie - Gusta miała łzy w oczach. Nic dziwnego, jarmarki odbywały się w Tarnowskich Górach tylko dwa razy w roku, a ten wiosenny, wypadający w ostatnich dniach kwietnia, był szczególnie lubiany. Niósł ze sobą wszystkie barwy tęczy rozlane na tkaninach, wstążkach, szarfach, koralach, buchał tańcami i śpiewem, cieszył występami kuglarzy, aktorów, ruchomych lalek. Dla Gusty i Barbarki zakaz urządzenia jarmarku to był powód do wielkiego smutku.

- Głupie - ofuknęła je kucharka - cieszcie się, że jeszcze żyjecie.

Kolejny widok za oknem: do domu Jana Blachy idzie lekarz podobny do drapieżnego ptaka. Twarz zasłonił okrutną, białą maską i to ona upodabnia go do ptaka, bo przypomina kształtem ptasi dziób. Podobno w ten sposób lekarze chronią się przed bliskim kontaktem z chorym. W zakończeniu dzioba umieszczają też zioła, aby złagodzić przykry zapach zakażonego. Anna Katarzyna pamięta, z jakim napięciem czekała na koniec tej wizyty. A potem na drzwiach Blachów pojawił się biały krzyż. „I tak już pozostał aż do dziś, choć

## Elle

### *Memento vivere, memento mori*

minęło tyle czasu” - myśli Anna Katarzyna. Jan Blacha, jego małżonka, dwie córki, teściowa - wszyscy zostali pochowani godnie, z księdzem, jak należy. Później, kiedy śmierć zaczęła zabierać coraz więcej ludzi, nie zawsze było to możliwe, a już biedaków chowano do wspólnych mogił na skraju miasta.

Tarnowskie Góry umierały. Opustoszała i ich dom. Jakoś w maju Gusta odwiedziła swoją matkę i tam zaniemogła. Gorączka, słabość i wielkie guzy pod lewą pachą. Śmierć zabrała ją w ciągu zaledwie trzech dni. To wszystko Anna Katarzyna usłyszała od zapłakanej Barbarki, a również to, że Maks, bojąc się o życie Anny Katarzyny, wielu ludziom kazał odejść. Pozostały tylko kucharka Oparowa i Barbarka. W całym domu pachniało jałowcem i dziką różą, aby odgonić morowe powietrze. Na początku zapach przynosił ukojenie, ale z biegiem dni stał się przykry i mdły, bo przypominał o tym, że śmierć jest na wyciągnięcie ręki.

Anna Katarzyna czuła strach, smutek i samotność, zwłaszcza że Maks tak rzadko do niej zaglądał.

- Codziennie chodzę do magazynów - tłumaczył jej cierpliwie - co będzie, jak przyniosę mór?

- To nie chodź. Bądź przy mnie.

- Nie mogę, wiesz przecież.

Wiedziała, ale nie potrafiła odgonić coraz większego przygnębienia. Często zdarzało jej się badać miejsca pod pachami. Macała kawałek po kawałku z uczuciem wzrastającego niepokoju. Czy wyczuwa zgrubienie? Jakies guzy? Czy jest tak jak zawsze? A może nie? A to gorące czoło? Bijące jak oszalałe serce? Czy dołączy do tych wielu, których zabrała morowa choroba? Zaraz potem paraliżował ją inny strach - o dziecko. Wydawało jej się, że od dawna nie dawało żadnego znaku, że go tam nie ma. Może umarło? Może zaraza zabrała dziecko, a ją jeszcze zostawiła? I chciało jej się wyć z rozpacz, ale tylko mocno zamykała oczy i gryzła pięści, a w głowie przywoływała słowa zasłyszane od Barbarki:

„Sliczna gwiazdo, racz nam teraz uskromnić niebo srogie,  
które trapi ciężkim morem zewsząd ludzie ubogie”.

Gdyby teraz była z nimi Piekarska Pani jak wtedy, przed dziesięcioma laty, może zaraza by ustąpiła, odeszła.

- Przez te dziesięć lat wiele się wydarzyło - usłyszała od Maksa. - Dziś ludzie z Piekar nie zgodziliby się, żeby cudowny obraz opuścił ich kościół.

- W takim razie to my musimy iść do Piekarskiej Pani - w tej jednej chwili obudziła się w niej na nowo nadzieja, że jeszcze wszystko będzie dobrze.

- To nie takie proste - Maks pokręcił głową - nie tak łatwo wyjechać z Tarnowskich Gór.

- Coś wymyślisz - powiedziała po prostu.

I udało się. W niedzielę, 5 lipca, wyszła z Tarnowskich Gór pielgrzymka do Piekarskiej Pani, a przewodzili jej księża jezuici. Poszli prawie wszyscy, którym siły na to pozwalały, bo nie było innego ratunku.

Dziś, kiedy już miesiąc od pielgrzymki mija, Anna Katarzyna pamięta to ogromne, wewnętrzne przekonanie, że zaraza musi ustąpić. Natychmiast. Trzeba czekać i cieszyć się, że przecież wciąż żyją, morowe powietrze nie przekracza ich progów.

Jest pusto i cicho. Za oknami nie słychać turkocących wozów ani przekrzykujących się kramarzy. Nie ma nikogo. Początek sierpnia.

Ból pojawił się nagle i zaatakował tak mocno, że Annie Katarzynie głos uwiązł w gardle. Wyprężyła się tylko i czekała, aż minie. Minął.



## Elle

### *Memento vivere, memento mori*

- Barbarko- zdołała wyrzucić z siebie zduszone wołanie, na które dziewczyna pojawiła się od razu, jakby czekała gdzieś bardzo blisko.

- Co to pani?- zapytała z troską.

- Takie męki - i w tym momencie ból jeszcze większy pozwolił Annie Katarzynie tylko jęczeć bez słów.

Barbarka spoglądała na wszystko z przerażeniem. Nieraz towarzyszyła matce przy rodzących i nie miała wątpliwości.

- Teraz zdołaby się moja matuś - szepnęła.

Anna Katarzyna rzuciła jej ponagląjące spojrzenie:

- Leć po matkę, leć!

- Ale kiedy matusi już niy ma - Barbarka wybuchnęła płaczem- zaraza ją wziena!

Anna Katarzyna słuchała tego płaczu, odpoczywając po kolejnym skurczu i czekając na następny, który niebawem nadejdzie. Poczowała, że niespodziewanie spływa na nią spokój i pewność przeznaczenia.

- Idź po pana, obudź go. A potem ...wiesz, co się dzieje. Musisz zastąpić matkę, dasz radę.

Maks przybiegł natychmiast i z niepokojem ogarnął wzrokiem ją całą.

- Barbarka mówi, że to już, ale jabłka na naszej jabłonce jeszcze nie dojrzały - uklęknął przy sofie i położył dłoń na jej zroszonym potem czole. W tym momencie skurcz ponownie chwycił Annę Katarzynę w swoje szpony, więc tylko krzyknęła rozdzierająco w odpowiedzi.

W drzwiach pojawiły się Barbarka i kucharka Oparowa z miską gorącej wody i prześcieradłami.

Maks wyszedł do drugiej izby. Pozostało mu czekać.

A potem zaczęła się długa noc pełna bólu i rozpacz.

Wreszcie, kiedy słońce stało już wysoko na niebie i oświetlało wymarłe miasto, na świat z wnętrza swojej mamy wypłynęła maleńka, słabiuteńka, milcząca dziewczynka. Barbarka otarła maleństwo z krwi i podała Annie Katarzynie. Oparowa przywołała Makska.

- Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Nadaję ci imię Eleonora.

Anna Katarzyna przytuliła drobną istotkę i przymknęła oczy. Czowała, jak opuszcza ją fala krwi, morze krwi, a na tym morzu kołysze się czerwone jabłuszko, które za wcześniej spadło z drzewa.

\*\*\*

Stoję przed brązową, kamienną tablicą w tarnogórskim kościele. Dwa szkielety po prawej i lewej stronie dzierżą w kościstych dłoniach klepsydry i płonące kaganki na znak przemijającego ziemskiego życia i wiecznego światła zbawienia. XVII wiek lubił takie motywy. Vanitas. Memento mori. Łacińska inskrypcja poświęcona jest Annie Katarzynie Vogel i jej pierworodnej córeczce Eleonorze. Zmarły 6 sierpnia w 1676 roku - roku zarazy. Od ich śmierci minęło bez mała 350 lat, ale czas nie ma znaczenia, więc spełniam wolę inskrypcji i mówię: „Anna Katarzyna Vogel niech odpoczywa w pokoju poprzez miłosierdzie Boże. Amen”.

**Elle**

*Memento vivere, memento mori*